

GÓRA, KTÓRA NIE CHCIAŁA UPAŚĆ

Sześć głosów spod Monte Cassino

Monte Cassino, Włochy

Styczeń – Maj 1944

*Czerwone maki na Monte Cassino, zamiast rosy piły polską
krew.*

— Feliks Konarski, „Czerwone maki na Monte Cassino”

*Zadanie, które wam powierzono, okryje chwałą imię
żołnierza polskiego na całym świecie.*

— General Władysław Anders, Rozkaz Dzienny, 11 maja 1944

*Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w jej
służbie.*

— Inskrypcja na Polskim Cmentarzu Wojennym, Monte Cassino

OD AUTORA

To jest utwór literacki. Postacie, ich dzienniki i osobiste historie są fikcyjne. Wydarzenia historyczne, które opisują — cztery bitwy o Monte Cassino, od stycznia do maja 1944 roku — są prawdziwe.

Bitwa o Monte Cassino była jednym z najkrwawszych starć drugiej wojny światowej w Europie. Przez cztery miesiące żołnierze z kilkunastu krajów — Polacy, Brytyjczycy, Hindusi, Nowozelandczycy, Francuzi, Marokańczycy, Gurkhowie, Amerykanie — próbowali przełamać niemiecką Linię Gustawa, zakotwiczoną na benedyktyńskim klasztorze na szczycie Monte Cassino. Klasztor, ufundowany przez świętego Benedykta w 529 roku, został zniszczony przez alianckie bombardowanie 15 lutego 1944 roku. Górę zdobyli ostatecznie 18 maja 1944 roku żołnierze polskiego II Korpusu pod dowództwem generała Władysława Andersa — ludzie, którzy przeżyli sowiecką deportację na Syberię, przeszli przez Persję i Bliski Wschód, i walczyli przez Włochy, by zatknąć polską flagę nad ruinami.

Dzienniki w tej książce napisane są w językach ich autorów — po polsku, po angielsku, po francusku i po niemiecku — ponieważ wojna pod Monte Cassino była wielojęzyczna, jak każda wojna koalicyjna. Każdy żołnierz myślał w swoim języku, modlił się w swoim języku i umierał w swoim języku.

Polski Cmentarz Wojenny na Monte Cassino liczy 1052 groby. Niemiecki cmentarz w Cairu — ponad 20 000. Cmentarze Wspólnoty Brytyjskiej kryją tysiące dalszych — Brytyjczyków, Hindusów, Gurków, Nowozelandczyków. Ofiary cywilne są niepoliczalne. Ta książka jest poświęcona im wszystkim.

NOTA WYDAWCY

Pocket Memoirs powstało z osobistego projektu zgłębiania historii bitwy pod Chosin Reservoir — i odkrycia, że to dobry i przystępny sposób na poznawanie wydarzeń historycznych. Treści są tworzone zarówno przez ludzi, jak i z pomocą sztucznej inteligencji; staramy się oferować to, co najlepsze z obu światów. Wszystkie postacie są fikcyjne, wydarzenia — nie. Dokładamy wszelkich starań, by zachować historyczną rzetelność, lecz jeśli zauważysz jakiegokolwiek nieścisłości, napisz do nas: [contact \(at\) pocketmemoirs \(dot\) com](mailto:contact(at)pocketmemoirs(dot)com).

Uwaga: realia historyczne przedstawione w tych książkach nie zawsze są odpowiednie dla nieletnich. Wszystkie treści na tej stronie należy uznać za nieodpowiednie dla młodszych czytelników. Rodzicom i opiekunom zalecamy zapoznanie się z materiałem przed udostępnieniem go dzieciom.

SPIS TREŚCI

1	Plutonowy Tadeusz Nowak	I
2	Sierżant Józef Kamiński	10
3	Private William Ashworth	19
4	Sepoy Arun Nair	24
5	Caporal Robert Latour	32
6	Oberjäger Karl Müller	39

PLUTONOWY TADEUSZ NOWAK

2. kompania, I batalion, 1. Pułk Strzelców Karpackich, 3. Dywizja Strzelców Karpackich

*Szliśmy przez pół świata, żeby zdobyć jedną górę. Nie
zdążyłem zobaczyć flagi.*

10 LUTEGO 1940 — LWÓW

Przyszli o czwartej nad ranem. Trzech NKWD-zistów w długich płaszczach, z karabinami. Zapukali tak, że tynk posypał się z futryny. Ojciec otworzył drzwi w koszuli nocnej i od razu wiedział. Wszyscy wiedzieliśmy. Od tygodni mówiono, że wywożą.

Dali nam dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut na spakowanie życia. Matka wzięła kołdrę, chleb, cukier, zegarek ojca. Ja wziąłem książkę — Sienkiewicza, „Potop” — bo to było pierwsze, co wpadło mi w ręce, i ten zeszyt. Halina wrzuciła do tobołka zdjęcie ze ślubu.

Na stacji towarowej stały bydłce wagony. Setki ludzi — kobiety, dzieci, starcy — pchani do środka jak drewno na opał. Drzwi zamknięto na rygiel. Pociąg ruszył na wschód.

Mam dwadzieścia cztery lata. Jestem nauczycielem matematyki w gimnazjum we Lwowie. Byłem nauczycielem. Teraz jestem numerem na liście deportacyjnej, byłem w wagonie, który jedzie do Rosji.

Halina siedzi obok mnie. Ma dwadzieścia dwa lata i jest w trzecim miesiącu ciąży. Tego jeszcze Sowieci nie wiedzą. My sami dowiedzieliśmy

się tydzień temu. Miało być szczęście. Miało być nowe życie. Teraz jest wagon bydłocy i mróz, i Rosja.

Przez szparę w ścianie widzę, jak Lwów znika za nami. Kopyły kościołów, ratusz, dym z kominów. Moje miasto. Nasze miasto.

Nie wiem, czy je jeszcze kiedyś zobaczę. Ale zapisuję, bo jeśli nie zapiszę, to jakby tego nie było. A to było. My byliśmy. Lwów był.

KWIECIEŃ 1940 — OBWÓD ARCHANGIELSKI

Łągier. Baraki z desek, za którymi las i nic. Las, śnieg i norma wyrębu, której nie sposób wykonać.

Rąbiemy drzewo od świtu do zmroku. Czternaście godzin dziennie, po kolana w śniegu, ręcznymi piłami. Za wykonanie normy — sześćset gramów chleba. Za niewykonanie — czterysta. Różnica między sześciuset a czterystu gramami chleba to różnica między życiem a powolnym umieraniem.

Halina straciła dziecko w marcu. Krwotok w baraku, w nocy, bez lekarza, bez niczego. Położna — Ukrainka z sąsiedniego baraku — zrobiła, co mogła. Nie wystarczyło. Halina leżała trzy dni i nie mówiła. Czwartego dnia wstała i poszła do pracy, bo kto nie pracuje, ten nie je, a kto nie je, ten umiera.

Nie płakaliśmy. Nie było na to czasu ani siły. Smutek jest luksusem, na który w łagrze nikogo nie stać.

Ojciec pracuje przy sortowaniu drewna. Ma pięćdziesiąt dwa lata i wygląda na siedemdziesiąt. Matka jest w kobiecym baraku, kroi chleb w kuchni. Chudnie z tygodnia na tydzień. Jej oczy, kiedyś ciepłe i jasne, teraz są jak okna w pustym domu.

Piszę, kiedy mogę. Ołówkiem, bo atrament zamarza. Piszę, bo to jedyne, co mam — słowa na papierze, dowód, że istniejemy, że byliśmy ludźmi, zanim zrobili z nas robociznę.

Minus trzydzieści pięć tej nocy. Spluwam — zamarzło, zanim dotknęło ziemi. Przy takiej temperaturze człowiek przestaje być człowiekiem. Sta-

je się mechanizmem do przetrwania. Wdech, wydech, krok, krok, piła, piła. Nic więcej.

Ale żyję. Halina żyje. Jutro znów będziemy rąbać drzewo. Pojutrze też. I tak dalej, aż się coś zmieni albo aż nic się nie zmieni i skończymy w lesie pod brzozowym krzyżem, jak ci, których wynoszą z baraków co rano.

WRZESIEŃ 1941 — ŁAGIER

Niemcy napadli na Rosję. I nagle — cud, który cudem nie jest, tylko polityką, ale dla nas wygląda jak palec Boży — Polacy mają być zwolnieni. Generał Anders formuje armię polską na terytorium sowieckim.

Armię. Z kogo? Z nas — z żywych trupów, ze szkieletów owinięte w łachmany, z ludzi, którzy zapomnieli, jak smakuje mięso. Z tego ma powstać wojsko, które pójdzie walczyć z Niemcami.

Idę. Oczywiście, że idę. Halina idzie. Ojciec idzie. Matka — matka nie przeżyła zimy. Zapalenie płuc, w styczniu. Ojciec wykopał grób, kiedy ziemia odtajała, i postawił krzyż z brzozowych gałęzi. Taki sam jak te dziesiątki krzyży przy baraku, które stoją krzywo, bo ziemia jest miękka i nic w niej nie trzyma się prosto.

Idziemy na południe. Pieszo, przez stepy, do punktów zbornych w Uzbekistanie. Sowietci dali nam wolność, ale nic więcej — bez jedzenia, bez transportu, bez lekarstw. Więc idziemy. Tysiące nas. Strumień cieni na stepie, idących na południe, ku jakiemuś innemu życiu.

Halina idzie obok mnie. Jest chuda jak patyk i twarda jak drut. Nie narzeka. Nigdy nie narzeka. Idzie, krok po kroku, i kiedy pytam, jak się czuje, mówi: „Dobrze, Tadek. Dobrze.”

Nie jest dobrze. Ale idziemy. Bo co innego nam zostało?

MARZEC 1942 — PAHLEVI, IRAN

Morze Kaspijskie przepłynęliśmy na rdzewiejącym statku, stłoczeni jak śledzie. Kiedy stanęliśmy na perskim brzegu w Pahlevi, żołnierze, którzy

przeżyli Syberię — twardzi mężczyźni, cienie ludzi — padali na kolana i płakali.

Płakałem. Halina płakała. Ojciec płakał. Pierwszy raz od deportacji widziałem łzy w jego oczach.

Anglicy nas przyjęli. Herbata, koce, lekarze. Halina trafiła do szpitala — dyzenteria, niedożywienie, awitaminoza. Lekarze mówią, że wyzdrowieje. Musi wyzdrowieć.

Ojciec wygląda lepiej. Perskie słońce robi swoje — kolor wraca na twarz, ramiona się prostują. Nadal jest chudy jak szczapa, ale w oczach znów jest światło.

Przydzielono mnie do 3. Dywizji Strzelców Karpackich. „Karpacka” — dywizja, która walczyła pod Tobrukiem, w Libii, w Afryce. Weterani pustyni. Patrzą na nas — na nas, łagierniaków — z mieszaniną współczucia i szacunku. Wiedzą, skąd przyszliśmy. Wiedzą, co przeżyliśmy.

Halina zostaje w obozie dla cywilów w Palestynie. Żegnamy się na stacji w Teheranie. Trzyma się dzielnie — uśmiecha się, poprawia mi kołnierz, mówi, żebym uważał na siebie.

— Wrócę — mówię.

— Wiem — odpowiada.

Ale w jej oczach widzę pytanie, na które żadne z nas nie zna odpowiedzi: dokąd wrócisz? Do jakiej Polski? Czy ta Polska jeszcze będzie istniała?

Nie wiem. Nikt nie wie. Ale jedziemy walczyć, bo walka jest jedynym, co nam zostało. Jedynym dowodem, że Polska żyje — w nas, w naszych rękach, w naszej krwi, jeśli trzeba będzie.

LUTY 1944 — POŁUDNIOWE WŁOCHY

Widzę Monte Cassino po raz pierwszy.

Góra wyrasta z doliny Liri jak pięść wzniesiona ku niebu. Stroma, skalista, a na szczycie — białe mury klasztoru, który stoi tu od czternastu wieków. Benedyktyni budowali to miejsce, kiedy Rzym jeszcze był ruiną, a Europa pogrążona w ciemności.

Teraz klasztor patrzy na dolinę pełną czołgów, dział i grobów. Amerykanie próbowali w styczniu. Nie dali rady. Brytyjczycy, Hindusi, Nowozelandczycy — wszyscy próbowali. Góra odrzuciła każdego.

Teraz nasza kolej. Polacy. Ci z Łagrów, ci z Tobruku, ci z długiej drogi przez pół świata.

Dostałem list od Haliny. Pisze, że w obozie w Palestynie jest ciepło, że uczy się angielskiego, że myśli o mnie codziennie. Pisze: „Wracaj cały.”

Patrzę na Monte Cassino i myślę: cały to dużo. Żywy — to byłoby już coś.

Nie piszę jej o tym, co widzę. Nie piszę o grobach na stokach, o odorze rozkładu, o kraterach, które wyglądają jak rany w ciele ziemi. Piszę, że jest ładnie, że pogoda dobra, że jedzenie znośne.

Kłamię. Kłamię, bo prawda jest zbyt ciężka do wysłania w kopercie.

11 MAJA 1944 — WIECZÓR

Jutro idziemy. Pierwszy szturm. Całe Monte Cassino — wzgórze 593, 569, Gardziel Widmo, klasztor.

Barasz artyleryjski zaczyna się o dwudziestej trzeciej. Dwa tysiące dział, wszystkie naraz. Potem my.

Siedzę w okopie i czyszczę karabin. Wokół mnie chłopaki robią to samo — sprawdzają broń, magazynki, opatrunki. Nikt nie mówi wiele. Cisza ludzi, którzy wiedzą, co ich czeka, i nie chcą o tym rozmawiać.

Kapral Zieliński, ten od Wilna, klęczy z różańcem. Szeregowy Wójcik pisze list do matki. Szeregowy Krawczyk, dwudziestoletni chłopak z Tarnopola, żuje suchar i patrzy w niebo z twarzą, która mówi wszystko i nic.

Napisałem do Haliny. Krótko. Nie umiałem długo, bo co napisać? Kocham cię? To za mało i za dużo jednocześnie. Napisałem: „Myślę o Tobie. Jutro będzie ciężki dzień. Nie martw się o mnie. Zobaczymy się wkrótce.”

Schowałem list do chlebaka, pod zeszyt. Gdyby coś się stało, ktoś go wyśle. Tak to u nas działa — każdy wie, gdzie kolega trzyma listy, i każdy wie, co z nimi zrobić.

Działa zaczynają za dwie godziny. Góra czeka. Ciemna, cicha, cierpliwa. Boję się. Nie wstydzę się tego. Każdy się boi. Kto mówi, że się nie boi, ten kłamie albo jest głupi, a głupców góra zabija pierwszych.

Ale pójdę. Bo po to tu jestem. Po to szedłem z Syberii przez Persję i Afrykę i Włochy. Po to Polska jest — w tym, co robimy, kiedy jest najciężej. Pójdę na tę górę. Wezmę ją albo zostanę na niej. Trzeciej opcji nie ma.

12 MAJA 1944 — 0200

Piekło. Inne słowo nie istnieje.

Poszliśmy o pierwszej. Przez dolinę — otwarta przestrzeń, krater, druty, kamienie. Niemcy mieli wszystko wycelowane. Moździerz zaczęły spadać, zanim dotarliśmy do podnóża — ten świst, potem uderzenie, potem krzyk albo cisza, w zależności od tego, czy trafiony jeszcze żyje.

Krawczyk padł na pierwszym stoku. Seria z karabinu maszynowego, trzy kule w pierś. Leżał na kamieniach z otwartymi oczami i nie ruszał się, a ja biegłem dalej, bo zatrzymanie się to śmierć.

Dotarliśmy do pierwszej linii niemieckiej. Walka na bagnety w ciemnościach — granaty, kolby, noże. Słyszać niemiecki, polski, krzyk, brak krzyku. W takich chwilach człowiek nie myśli. Ciało robi swoje — strzela, uderza, unika — a rozum czeka gdzieś z boku, na potem, na moment, kiedy będzie bezpiecznie.

Moment nie nadszedł. Niemcy kontratakowali o czwartej. Spadochroniarze — najlepsi żołnierze Wehrmachtu — weszli z dwóch stron i wyrzucili nas z pozycji, które wzięliśmy trzy godziny wcześniej.

Cofnęliśmy się. W dół, po stoku, przez ciała kolegów, z powrotem na początek.

Pluton szedł dwunastoma. Wróciło siedmiu. Krawczyk nie wrócił. Zieliński nie wrócił. Kapral Dąbrowski, ten od dowcipów — nie wrócił.

Góra nas odrzuciła. Jak odrzuciła Amerykanów, Anglików, Hindusów. Góra nie robi wyjątków.

Ale my też nie. Pójdziemy znowu. Nie wiemy jeszcze kiedy, ale pójdziemy. Bo nie przyszlśmy z Syberii, żeby się zatrzymać na zboczu włoskiej góry.

Przyszlśmy po flagę. I weźmiemy tę flagę. Albo ginie ostatni z nas.

16 MAJA 1944

Cztery dni odpoczynku, uzupełnień, przygotowań. Cztery dni, żeby naprawić to, co góra zepsuła. Nowi ludzie, nowa amunicja, stare oczy, które widziały za dużo.

Jutro idziemy ponownie. Ostatni szturm. Francuzi przebili się przez góry Aurunki na południu — genialne natarcie, przez teren, który Niemcy uważali za nieprzejezdny. Linia Gustawa pęka. Monte Cassino jest ostatnim zawiase.

I my jesteście ci, którzy go wyważą.

Dostałem list od ojca. Pisze z Palestyny, ze szpitala — płuca po łągrze nie dają spokoju. Pisze, że słyszał o Monte Cassino w BBC. Pisze: „Jestem z ciebie dumny, synu. Wracaj.”

Wracaj. Proste słowo. Pięć liter. A za nim cały świat — Halina, dom, przyszłość, życie.

Wrócę. Muszę wrócić. Nie dlatego, że jestem odważny — odwaga tu nie ma nic do rzeczy. Dlatego, że Halina czeka, i ojciec czeka, i jest gdzieś na świecie miejsce, gdzie nie ma gór pełnych karabinów maszynowych, i ja zamierzam do tego miejsca dotrzeć.

Ale najpierw — góra. Jeszcze jeden raz.

Niech Bóg ma nas w opiece. Niech Matka Boska Ostrobramska, patronka tych z Kresów, patronka tych, którzy stracili dom i idą szukać go na końcu świata — niech nas prowadzi.

Jutro. Ostatni raz. Na górę.

17 MAJA 1944 — 0100

Idziemy. Barasz ucichł dziesięć minut temu i cisza po nim jest gorsza niż huk, bo w tej ciszy słychać tylko buty na kamieniach i oddech ludzi, którzy wiedzą, że biegną ku czemuś, z czego nie wszyscy wrócą.

Stok jest ten sam co pięć dni temu. Te same kratery, te same druty, te same ciała z pierwszego szturmu — nasi chłopcy, leżący tam, gdzie padli, nieodebrani, czekający na nas.

Mija ich. Biegniemy.

Niemcy otworzyli ogień o pierwszej piętnaście. MG 42 — ta piła do ciała, ten dźwięk, który rozpoznajesz po jednym razie i którego nie zapomnisz do śmierci. Pociski świecące lecą ku nam jak czerwone sznurki, moździerz wałą w zbocze, fontanny kamieni i ziemi.

Wójcik biegnie obok mnie. Słyszę jego oddech — szybki, płytki, oddech chłopaka, który robi to drugi raz i wie, że drugi raz jest gorszy od pierwszego, bo wyobraźnia dopowiada resztę.

Dotarliśmy do wzgórza 593. Walka. Znow walka w ciemnościach, w skałach, wśród ruin, gdzie każdy kamień jest stanowiskiem, a każda szczelina — grobem. Niemcy bronią się zaciekle — spadochroniarze, najlepsi z najlepszych, walczą do ostatniego naboju i potem walczą bagnetami. Ale my też walczymy. Walczymy jak ludzie, którym nie zostało nic do stracenia oprócz tego jednego stoku, tej jednej nocy, tej jednej szansy.

Wzięliśmy 593. Trzymamy je. Wójcik żyje. Ja żyję.

Świta. Przez dym i pył widzę ruiny klasztoru na szczycie. Są blisko. Blżej niż kiedykolwiek. Jeszcze jeden stok, jeszcze jedno natarcie, i będziemy tam.

Jeszcze jed

Plutonowy Tadeusz Nowak zginął 17 maja 1944 roku, w nocy poprzedzającej ostateczne zdobycie klasztoru, podczas natarcia na pozycje niemieckie na wzgórzu 593. Został trafiony odłamkiem moździerzowym w pierś.

Sanitariusz dotarł do niego po kilkunastu minutach, ale rany były śmiertelne. Nowak zmarł przed świtem, na zboczu góry, która nazajutrz miała być polska. Miał dwadzieścia osiem lat. Pochowany jest na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino, w rzędzie szóstym, grób numer 42. Na jego nagrobku wyryte są słowa: Plut. Tadeusz Nowak, 3. DSK, poległ 17 V 1944, lat 28. Jego dziennik znaleziono w chlebaku — zapisany ołówkiem zeszyt w twardej okładce, poplamiony brunatną krwią na ostatnich stronach. Żona, Halina, odebrała go w Londynie w sierpniu 1945 roku. Nigdy nie wróciła do Polski. Zeszyt leży dziś w gablocie Instytutu Sikorskiego w Londynie.

SIERŻANT JÓZEF KAMIŃSKI

3. kompania, II batalion, 5. Wileński Pułk Piechoty, 5. Kresowa Dywizja
Piechoty

*Zwyciężyliśmy. Straciliśmy. To nie jest sprzeczność — to jest
Polska.*

10 LUTEGO 1940 — WILNO

Zabrali nas w nocy, jak wszystkich. Ciężarówka na Pohulance, potem stacja, potem wagony. To samo, co spotkało tysiące rodzin na Kresach — Sowietci spakowali nas jak towar i wysłali na wschód.

Jestem starszy sierżant rezerwy. Przed wojną pracowałem jako księgowy w Banku Wileńskim. Żona — Irena — uczyła w szkole powszechnej. Syn — Marek — miał sześć lat.

Marek nie rozumiał, co się dzieje. Myślał, że jedziemy na wycieczkę. Irena powiedziała mu, że tak, że jedziemy daleko, i że będzie śnieg, i że będzie fajnie. Kłamała z takim spokojem, że prawie jej uwierzyłem.

Wagon bydłocy. Czterdzieści osób w przestrzeni dla ośmiu krów. Wiadro w rogu za zasłoną — to nasza toaleta. Szczeliny w ścianie — to nasze okna. Mróz, smród, płacz dzieci. Tydzień jazdy, dziesięć dni, nie pamiętam. Czas przestał mieć znaczenie gdzieś koło Uralu.

Kazachstan. Kołchoz w stepie, gliniany barak, praca przy uprawie bawełny. Lepiej niż łagier — tak przynajmniej mówią ci, którzy widzieli jedno i drugie. Ale „lepiej niż łagier” to niska poprzeczka.

Marek zachorował pierwszej zimy. Tyfus. Irena siedziała przy nim trzy doby, karmiła go łyżeczką, okładała mokrymi szmatami. Nie pomogło. Umarł czwartego dnia.

Mój syn. Sześć lat. Pochowany w kazachskim stepie, pod drewnianym krzyżem, który pewnie dawno się rozpadł.

Od tego dnia coś we mnie zgasło. Nie całkowicie — wciąż chodziłem, pracowałem, oddychałem. Ale coś, jakiś środek, jakiś rdzeń — to zgasło i nigdy nie wróciło.

Irena mówi, że trzeba żyć dalej. Dla siebie, dla siebie nawzajem, dla tego co będzie. Ma rację. Zawsze ma rację. Ale żyć dalej po śmierci dziecka to nie jest życie — to jest mechaniczne powtarzanie czynności, które wyglądają jak życie, ale nie mają jego smaku.

KWIECIEŃ 1942 — IRAN

Wyszliśmy. Przez Morze Kaspijskie, do Iranu. Wolność pachnie solą morską i suchym perskim powietrzem.

Irena jest ze mną — chuda, cicha, silniejsza niż ja. Pojechała do obozu dla cywilów w Palestynie. Ja — do armii Andersa. Piąta Dywizja Kresowa, Wileński Pułk. Same znajome twarze — chłopaki z Wilna, z Grodna, z Pińska. Wszyscy z Kresów. Wszyscy z łagrów albo z kołchozów. Wszyscy z tym samym pustym miejscem w oczach.

Szkolimy się. Z dnia na dzień z cieni ludzi robimy się żołnierzami. Jedzenie pomaga — prawdziwe jedzenie, w ilościach, o jakich zapomnieliśmy. Mięso, chleb, jarzyny. Ciało się wypełnia, ramiona się prostują, w oczach pojawia się coś, czego nie było w Kazachstanie: cel.

Będziemy walczyć. Z Niemcami, nie z Sowietami — chociaż wielu z nas chętniej strzeliłoby w drugą stronę. Ale to jest polityka, a polityka jest ponad moim stopniem. Ja jestem sierżantem. Moje zadanie: utrzymać ludzi przy życiu i poprowadzić ich tam, gdzie każe dowódca.

Mam pod sobą sekcję — dziesięciu ludzi. Połowa to ci z Wilna, połowa z Grodna. Dwóch jest starszych ode mnie, trzech młodszych od Marka, gdyby Marek żył.

Nie. O tym nie piszę. O tym nigdy nie piszę.

STYCZEŃ 1944 — WŁOCHY

Włochy. Góry, deszcz, błoto i Niemcy na każdym wzniesieniu. Inny krajobraz niż Kazachstan, ale ta sama reguła: zimno, ciężko, niebezpiecznie.

Monte Cassino widzę z obozu szkoleniowego. Góra jak z legendy — strome zbocza, skały, a na szczycie ruiny klasztoru, który Amerykanie zbombardowali w lutym. Mówią, że w tych ruinach siedzą niemieccy spadochroniarze i zabijają każdego, kto próbuje się wspiąć.

Anglicy próbowali. Hindusi próbowali. Nowozelandczycy próbowali. Teraz nasza kolej.

Napisałem do Ireny. Nie wspomniałem o górze. Napisałem o pogodzie, o jedzeniu, o kolegach. O tym, że wrócimy do domu. Do jakiego domu — tego nie napisałem, bo nie wiem. Wilno jest sowieckie. Nasze mieszkanie przy Wielkiej Pohulance jest czyjeś. Grób Marka jest na stepie po drugiej stronie świata.

Gdzie jest dom? Może jest nim ta dywizja. Może domem jest pluton, sekcja, chłopaki, z którymi śpisz w namiocie i z którymi pójdiesz na górę. Może dom to nie miejsce, ale ludzie.

Tak sobie mówię. Nie wiem, czy w to wierzę.

11 MAJA 1944 — NOC

Barasz artyleryjski o dwudziestej trzeciej. Ziemia drży. Niebo jest pomarańczowe od ognia.

Stoimy w okopach — gotowi, cicho, z twarzami szarymi od pyłu i czymś twardym w oczach. Sekcja jest kompletna: dziesięciu ludzi, dziesięć karabinów, dziesięć par rąk, które zaraz pójda wspinac się na górę pełną ludzi, którzy chcą nas zabić.

Kapral Wiśniewski, ten spod Grodna, cicho się modli. Szeregowy Lewandowski sprawdza magazynki — raz, drugi, trzeci. Szeregowy Polak — tak naprawdę się nazywa — gryzie paznokcie i udaje, że nie.

Każdy się boi. To normalne. Strach na wojnie nie jest słabością — jest znakiem, że mózg jeszcze działa, że rozumie, co się za chwilę wydarzy. Słabością byłoby udawać, że go nie ma.

Pułkownik wydał rozkaz dnia. Mówił o chwale i Polsce. Ładne słowa. Sierżanci nie mówią ładnych słów. Mówią: sprawdź broń, sprawdź amunicję, trzymaj się za człowiekiem przed tobą, nie zatrzymuj się, jak padnie ten przed tobą — idź dalej.

Idź dalej. To jest cała filozofia piechoty. Idź dalej, cokolwiek się dzieje. Idź dalej.

Za dwadzieścia minut wchodzimy.

12 MAJA 1944 — ŚWIT

Nie wzięliśmy góry. Ale zabiliśmy kawalek.

Szliśmy pod ogniem, przez kruszony kamieniami stok, pod moździerzami i MG 42, i dotarliśmy do pierwszych pozycji niemieckich, i walczyliśmy, i wzięliśmy je, i trzymaliśmy trzy godziny, i straciliśmy je, i cofnęliśmy się.

Wiśniewski zginął na stoku. Lewandowski dostał w ramię — sanitariusz ściągnął go w dół. Z sekcji wróciło siedmiu na dziesięciu.

Kompania straciła czterdziestu ludzi w jedną noc. Pułk — dwustu. Dywizja — ponad pięciuset zabitych i rannych.

A góra stoi jak stała. Jakby nic się nie wydarzyło. Jakby ci wszyscy ludzie — nasi chłopcy, ci z Wilna i Grodna i Tarnopola i znad Prypeci — nic nie znaczyli.

Ale znaczyli. Każdy z nich znaczył. I pójdziemy znowu, żeby udowodnić, że znaczyli, żeby ich śmierć nie była bezcelowa, żeby flaga — ta cholerna biało-czerwona, za którą ginie od dwustu lat — zawisła na tej cholernej górze.

Przepraszam za język. Na wojnie nawet dzienniki są wulgarne.

17 MAJA 1944 — NOC

Drugi szturm. W noc, na górę, po raz drugi.

Tym razem jest inaczej. Francuzi przebili się na południu. Brytyjczycy i Hindusi forsują Rapido poniżej nas. Linia Gustawa się łamie. Cassino jest ostatnim bastionem, a my jesteśmy tymi, którzy go rozbijają.

Idziemy szybko, zdecydowanie, z furją, która nie ma nic wspólnego z odwagą — to jest coś głębszego, coś, co narosło przez lata, od Syberii przez Kazachstan przez Persję aż tutaj. To jest gniew ludzi, którym odebrano wszystko i którzy zamierzają wziąć z powrotem chociaż jedną rzecz: tę górę.

Sekcja walczy jak maszyna. Każdy wie swoje — ruch, strzał, skok, granat. Polak — ten od paznokci — rzuca granaty z precyzją, jakiej nie pokazywał na ćwiczeniach. Strach mu przeszedł. Wszyscy przeszliśmy przez strach na drugą stronę, do miejsca, gdzie jest tylko działanie.

Wzięliśmy pozycje, jedną po drugiej. Niemcy walczą zaciekle — spadochroniarze, najlepsi, nie ustępują bez walki. Ale ustępują. Wolno, metr po metrze, pozycja po pozycji — ale ustępują.

Rano jesteśmy na grani. Klasztor jest blisko — widzę ruiny, widzę mury, widzę dziury po bombach. Jeszcze trochę. Jeszcze jeden stok.

Ale noc się kończy i musimy się okopać i czekać na następną noc albo na to, aż Niemcy sami odejdą.

Czekamy. Z krwią na rękach i kamieniami pod kolanami, na zboczu góry, która w końcu zaczyna ustępować.

18 MAJA 1944 — 1010

Flaga.

Patrol rozpoznawczy z 12. Pułku Ułanów Podolskich wszedł do ruin klasztoru o poranku. Niemcy wycofali się w nocy — ostatni spadochroniarze, ci najlepsi, odeszli po cichu, zostawiając za sobą puste bunkry i trupy.

Polak wbił flagę w najwyższy fragment muru, który jeszcze stał. Białoczerwona, brudna, podarta — i najpiękniejsza rzecz, jaką widziałem w życiu.

Trębacz zagrał hejnał krakowski. Te nuty — te stare, łamane nuty, które urywają się w połowie, bo tatarski łucznik trafił trębacza na wieżę Mariackiej siedemset lat temu — te nuty poleciały nad dolinę Liri, nad grobami, nad ruinami, i było w nich coś, czego nie potrafię opisać. Coś między triumfem a żałobą. Coś, co jest sednem polskości — zwycięstwo i strata w jednym oddechu.

Stałem na zboczach, z karabinem w ręce, wśród moich ludzi — tych, którzy zostali — i płakałem. Wszyscy płakali. Twardzi faceci z Kresów, z łagrów, z pustyni — stali na stoku Monte Cassino i ryczeli jak dzieci, bo flaga była tam, bo zrobiliśmy to, bo przeszliśmy pół świata i wzięliśmy tę cholerną górę.

Za tę flagę zapłaciliśmy. Tysiącem zabitych i rannych. Wiśniewski nie zobaczy flagi. Krawczyk z Trzeciej Karpackiej nie zobaczy flagi. Setki chłopaków, którzy leżą na tych stokach — nie zobaczą.

My widzieliśmy za nich. Za wszystkich.

Góra jest nasza. Polska flaga nad Monte Cassino. Świat zobaczy.

A potem — potem powiedzą nam, że Polska, o którą walczyliśmy, nie jest już Polską, w której się urodziliśmy. Że Kresy są sowieckie. Że dom nie istnieje. Że nie mamy dokąd wracać.

Ale to będzie potem. Dziś jest flaga, i hejnał, i łzy, i duma, i ból, i wszystko razem, w jednym momencie, na jednej górze, w jedno majowe przedpołudnie.

Dzisiaj to wystarczy.

SIERPIEŃ 1944

Nacieramy na północ przez Włochy — Ankona, linia gotycka, Adriatyk. Kolejne góry, kolejne rzeki, kolejne pozycje niemieckie do zdobycia. Wojna się toczy.

Z Warszawy docierają wieści — Powstanie. Armia Krajowa walczy z Niemcami, a Sowieci stoją na drugim brzegu Wisły i patrzą. Czekają, aż Niemcy wymordują polskie podziemie, żeby potem wejść do pustego miasta. Słuchamy radia i czujemy wściekłość bez ujścia. Jesteśmy we Włoszech, tysiąc kilometrów od Warszawy. Nasi ludzie giną, a my nic nie możemy zrobić.

Anders wydał komunikat. Słowa o oporze i nadziei. Ładne słowa. Generałowie są od ładnych słów. Sierżanci są od prawdy, a prawda jest taka: Polska umiera po raz drugi, i tym razem zabija ją ten sam sojusznik, który zabrał nas do łagrów pięć lat temu.

Irena pisze z Palestyny. Pyta, co będzie po wojnie. Gdzie pójdziemy. Czy wrócimy do Wilna.

Nie wrócimy. Wiem to, nawet jeśli nie chcę tego wiedzieć. Wilno jest sowieckie. Nasze mieszkanie jest czyjeś. Grób Marka jest po tamtej stronie granicy, której nikt nie pozwoli nam przekroczyć.

Muszę się z tym pogodzić. Nie dzisiaj. Ale kiedyś.

MAJ 1945 — WŁOCHY

Koniec wojny. Niemcy się poddali. Europa milknie.

Świętowaliśmy — cicho, bez triumfu. Bo co świętować? Wygraliśmy wojnę i straciliśmy kraj. Polska istnieje, ale nie nasza Polska. Nasza Polska — Wilno, Lwów, Grodno, Brześć, cała wschodnia połowa — jest sowiecka.

Żołnierze Drugiego Korpusu — ci, którzy szli od Syberii do Monte Cassino — nie mają dokąd wracać. Możemy „wrócić” do komunistycznej Polski, do kraju rządzonego przez tych samych ludzi, którzy wysłali nas do łagrów. Albo możemy zostać na Zachodzie. Emigracja. Obczyzna. Nowy język, nowe życie, starzy ludzie w nowym świecie.

Irena pisze: „Jedźmy do Anglii.”

Anglia. Wyspa deszczu i herbaty, gdzie ludzie kolejkują do wszystkiego i przepraszają, kiedy na nich nadepniesz. To ma być nasz dom.

Dobrze. Niech będzie Anglia. Lepsze to niż Syberia, lepsze niż kołchoz, lepsze niż góra pełna karabinów maszynowych.

Ale nie jest to dom. Dom jest na Wielkiej Pohulance w Wilnie. Dom jest tam, gdzie Marek biegał po podwórku i Irena gotowała zupę i ja wracałem z banku i wieszałem płaszcz na haku w przedpokoju.

Tego domu nie ma. Został w innym świecie, w innym życiu, za kurtyną, której nikt nie podniesie.

PAŹDZIERNIK 1946 — LONDYN

Londyn jest szary. Nie brudny-szary, jak łagier, i nie kamienisty-szary, jak Monte Cassino. Szary-deszczowy, szary-uprzejmy, szary-obojętny.

Wynajmujemy pokój w Ealing, w zachodnim Londynie. Irena uczy polskiego w szkole dla dzieci emigrantów. Ja pracuję w fabryce mebli. Księgowy, który był sierżantem, który był deportowanym, który był księgowym — koło się zamyka, tyle że w innym języku.

Polacy w Londynie żyją we własnym świecie — polskie kościoły, polskie sklepy, polskie restauracje. Mówimy po polsku, myślimy po polsku, śnimy po polsku. Anglia jest za oknem, za drzwiami, za progiem, ale wewnątrz naszych mieszkań jest wciąż Polska. Polska z pamięci, z tęsknoty, z niczego.

Irena jest silniejsza ode mnie. Zawsze była. Uczy się angielskiego z determinacją, która budzi podziw. Czyta angielskie gazety, słucha BBC, rozmawia z sąsiadkami. Buduje nowe życie, cegiełka po cegiełce, bo wie, że stare życie jest skończone i nie wróci.

Ja nie potrafię. Wciąż czekam. Na co — nie wiem. Na zmianę, na cud, na przebudzenie, na poranek, w którym otworzę oczy i będę na Pohulance, i Marek będzie biegał po podwórku, i wszystko będzie jak było.

To nie nastąpi. Wiem o tym. Ale ciało czeka, nawet gdy rozum wie.

Mam polską flagę — małą, szkolną. Wisi nad łóżkiem. Tę samą biało-czerwoną, która wisiała nad Monte Cassino. Patrzą na nią wieczorem i myślę o górze, o hejnale, o chłopakach, którzy tam zostali.

Oni mają swoje miejsce. Leżą na zboczu pod krzyżami, pod wierszem, który mówi: „Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w jej służbie.” Mają swoje miejsce. Pewne, stałe, wieczne.

Ja swoje szukam dalej. W szarym Londynie, w fabryce mebli, w pokoju w Ealing. Szukam i nie znajduję i pewnie nigdy nie znajdę, bo dom, którego szukam, nie istnieje.

Ale żyję. Irena żyje. Jest deszcz i herbata i praca i nowy dzień.

To musi wystarczyć. To nie wystarczy nigdy. Ale musi.

PRIVATE WILLIAM ASHWORTH

B Company, 2nd Battalion, Lancashire Fusiliers, 78th Battleaxe Division

*I came to Italy to fight Germans. I found a mountain that
fights everyone.*

OCTOBER 12, 1943 — NAPLES

Naples is a bloody shambles. Half the city's bombed, the other half is trying to sell you something. Cigarettes, wine, girls, antiquities — the Neapolitans will flog you anything if you've got a few lire or, better still, American dollars.

I'm Bill Ashworth, from Blackburn, Lancashire. Twenty-two years old, Private in the Lancashire Fusiliers, 78th Division — the Battleaxe Division. We've got a bloody great battle-axe on our shoulder patch and it looks fierce but I'm a weaver's son who joined up because the mill closed and there was nowt else to do.

Italy was supposed to be the soft underbelly of Europe, according to Mr Churchill. Soft underbelly, my arse. The country is nothing but mountains and rivers and Germans dug in on top of both. We've been fighting north from Sicily since July, one bloody ridge at a time, and the only thing that's soft is the mud, which is everywhere and permanent. The lads are a good lot — most of them from Lancashire or thereabouts. We talk about football and beer and girls and we don't talk about what happened at the last river crossing or the one before that. There's a code,

unwritten but absolute: you don't dwell. You push it down and carry on and when the war's over you go home and never mention it again.

That's the British way. Stiff upper lip and all that. Works fine until it doesn't.

Wrote to Mum. Told her Italy is sunny and the food's not bad and I'm right as rain. Two out of three are true. The food's actually terrible.

DECEMBER 28, 1943 — NEAR CASSINO

We've moved up to the front line, south of the Rapido River. Across the river is the town of Cassino, and above the town is the mountain, and on top of the mountain is the monastery. The whole thing looks like something from a fairy tale — a massive stone fortress on a peak, white walls gleaming in the winter sun.

Except it's not a fairy tale. It's a German defensive position, the strongest on the Gustav Line, and every army that's tried to crack it has come away bloody.

The Rapido is the problem. It's not wide — maybe sixty feet — but the banks are soft, the current is fast, and the Germans have every inch of it covered with machine guns and mortars. They've flooded the valley to make it even worse. The approaches are knee-deep in water, which is knee-deep in bloody freezing.

Sergeant McBride, who's been in since North Africa, says it reminds him of the Western Front stories his dad told — mud, wire, rivers of death. He says it with the dry Yorkshire humour that means he's scared but won't show it, and we all laugh because laughing is better than thinking.

I've been cleaning my rifle obsessively. It's a Sten, which is about as reliable as a politician and twice as ugly, but it fires and that's what matters. I clean it because cleaning it gives me something to do with my hands, which want to shake.

Christmas was tinned pudding and a tot of rum and a sing-song that started with "White Christmas" and ended with "It's a Long Way to Tipperary" and everyone was smiling and no one was happy.

JANUARY 20, 1944

The Americans tried to cross the Rapido. It was a disaster.

We watched from our positions south of the crossing point. The 36th Texas Division went in at night, in rubber boats, and the Germans were waiting. Machine guns, mortars, artillery — they lit up the river like Guy Fawkes Night. The boats were shredded. Men were drowning in the current, dying in the mud, screaming on the banks.

By morning, most of the assault force was dead, wounded, or trapped on the far bank with no way back. The Texans fought like lions but the river and the mountain beat them. Over a thousand casualties in two days. For nothing. The crossing failed.

We're next. The 78th Division is being committed to the next push. Our turn to cross that river, to try what the Americans couldn't do, to go up against the Gustav Line and see if we can find a crack in it.

I don't want to cross that river. I've seen what it does to men who try. But wanting has nothing to do with it. The army doesn't ask what you want. It tells you where to go and you go and that's the end of it.

Wrote to Mum again. Told her everything's fine, we're in reserve, no danger. Lied through my teeth. But what am I supposed to write? "Dear Mum, I'm about to cross a river into machine-gun fire and I'm scared witless. Love, Bill."

No. You write that everything's fine. You sign your name. You seal the envelope. And you clean your rifle one more time.

JANUARY 30, 1944

The push is on. We're going across in three days. The plan is the same one that failed for the Americans — rubber boats across the Rapido,

establish a bridgehead, push into Cassino. The only difference is that this time it's us instead of them.

Sergeant McBride gathered the section and gave us the briefing. Straight, no sugar. "The crossing will be under fire. The boats are rubber and the Germans know where we're going. Keep your heads down, paddle fast, and don't stop for anything."

Don't stop for anything. That includes mates who fall in the water. That includes mates who get hit. That includes your own screaming brain telling you to turn around and run.

I've been thinking about Blackburn. About Mum's kitchen, with the kettle on the hob and the wireless playing and the smell of bread and margarine. About the mill, with its looms clattering and the cotton dust floating in the air like snow. About the football pitch on Saturday afternoons, the crowd roaring, the ball sailing between the posts.

Small things. Ordinary things. The things you don't appreciate until you're lying in a foxhole in Italy, wondering if you'll ever see them again. I will see them again. I'm going to cross that river and survive and come home and walk through Mum's front door and sit in the kitchen and drink tea and it will be the best bloody cup of tea in the history of the world.

That's the plan. I know what they say about plans. But it's all I've got.

FEBRUARY 2, 1944 — 2300

Tomorrow morning. Zero three hundred hours. The boats are lined up on the riverbank. The barrage starts at midnight.

I'm sitting in a slit trench, writing by the light of a shielded torch. My hands are shaking — not from cold, though it is cold, but from the animal knowledge of what's about to happen. The body knows before the mind admits it. The body knows about rivers and machine guns and rubber boats and the mathematics of survival.

McBride came round and checked everyone's kit. He looked at each of us — really looked, the way you look at someone when you're memori-

sing their face — and he said, "Right, lads. We've done this before. Keep tight, keep moving, get across. I'll see you on the other side."

On the other side. Of the river. Of the war. Of everything.

I want to write something profound. Something for Mum to read if I don't come back — something beautiful, something worthy, something that would make her understand why her son is sitting in mud in Italy at eleven o'clock at night, about to cross a river into German fire. But I can't find the words. The big words — duty, honour, country — don't mean anything here, in the mud, with the guns. They're words for speeches and memorials. Not for slit trenches.

So I'll write this instead: Mum, I'm sorry I didn't write more often. I'm sorry I joined up without asking you. I'm sorry I can't be there for Sunday tea. I love you. I love Blackburn and Lancashire and the mill and the football and the rain. I love the rain, Mum. I never thought I'd say that, but I do.

If I come back, I'll tell you this in person. If I don't — well, you'll have this letter, and you'll know.

Your loving son, Bill

The barrage is starting. The river is waiting.

Let's get on with it.

Private William Ashworth zginął 3 lutego 1944 roku podczas przeprawy przez rzekę Rapido, w trakcie drugiej bitwy o Monte Cassino. Jego oddział próbował sforsować rzekę w gumowych pontonach, pod silnym ogniem niemieckim. Ashworth został trafiony ogniem karabinu maszynowego w trakcie wchodzenia do pontonu. Miał dwadzieścia dwa lata. Pochowany jest na Cmentarzu Wojennym Wspólnoty Brytyjskiej w Cassino, w sekcji IV, grób 14. Jego matka w Blackburn, Lancashire, otrzymała telegram Ministerstwa Wojny 18 lutego 1944 roku. Na kominku w salonie postawiła jego zdjęcie w mundurze — dwudziestoletni chłopak z uśmiechem, który jeszcze nie wie, co go czeka. Stało tam do jej śmierci w 1971 roku.

SEPOY ARUN NAIR

C Company, 1st Battalion, 4th Essex Regiment, attached 4th Indian
Division

*I fought for a king I never met, for an empire that ruled my
country. I fought because soldiers fight. That is all the reason
I had.*

NOVEMBER 15, 1943 — TARANTO, ITALY

Italy. The British call it a campaign. To me it looks like a very long walk uphill, carrying a very heavy pack, in very bad weather, towards men with very good guns.

My name is Arun Nair. I am from Thrissur, in Kerala, in the south of India. I am twenty-five years old and I have been a soldier in His Majesty's Indian Army for three years. Before that I was a student. Before that I was a boy who watched the monsoon rains turn the paddy fields into mirrors and thought the world was beautiful and simple.

The world is neither beautiful nor simple. It is cold and complicated and full of mountains.

The 4th Indian Division is famous — "The Red Eagles." We fought Rommel in the desert, at Sidi Barrani, at Keren. We are veterans. The problem with being veterans is that they send you to the worst places, because you are good at surviving the worst places.

This is one of the worst places.

I write in English because the army runs in English. I think in Malayalam. I dream in Malayalam. But I write in the language of the people who rule my country, because that is what a colonial soldier does — he serves the empire in the empire's tongue, and keeps his own tongue for his prayers.

My father did not want me to join. He is a schoolteacher in Thrissur and he believes that India should be free, that the British should go home, that no Indian should fight Britain's wars. He is right about all of these things. But the army pays, and the family needs money, and sometimes principle must yield to hunger.

So here I am. In Italy. Fighting Germans. For Britain. On a mountain I had never heard of, in a country I cannot pronounce, in a war that is not mine.

The ironies accumulate. I try not to count them.

JANUARY 25, 1944 — MONTE CASSINO SECTOR

We have moved into the line below Monte Cassino. The mountain dominates everything — it sits above the valley like a god on a throne, watching, judging, waiting.

The 4th Indian Division is tasked with assaulting the monastery itself. The plan involves climbing the massif from the north, through terrain that would challenge a mountain goat, and then attacking the German positions on the ridges above.

I have climbed mountains before — in training, in North Africa, in exercises designed to prepare us for exactly this sort of terrain. But the mountains in training did not have German paratroopers at the top with machine guns. That is a significant difference.

The Gurkhas are with us. The Gurkha battalions of the Indian Division are extraordinary soldiers — small, quiet men from the hills of Nepal, who carry curved kukri knives and move through mountains like water. I have fought alongside them in Africa and I would rather have a Gurkha at my side than a company of anyone else.

The cold is remarkable. Not Indian cold — India does not have this kind of cold. This is a European cold, a mountain cold, a cold that comes from somewhere inside the earth and rises through your boots and into your bones. My hands are cracked and my feet are numb and I have been here for three days.

The British officers are brave and useless in equal measure. Brave because they lead from the front and die at a higher rate than the men they command. Useless because they do not speak our languages and cannot understand what we say to each other in the moments before an attack, when men speak from the heart and the heart does not speak English. Captain Henderson is our company commander. He is a good man — fair, competent, decent. He treats us as soldiers, not as servants. That is more than some officers do. But he is English, and I am Indian, and between us lies an empire that he does not see and I cannot escape.

We go up the mountain soon. I will fight well. Not for the King, not for the Empire, not for any cause that a colonial subject should recognise as his own. I will fight for the men beside me — the Nairs and the Menons and the Singhs and the Gurungs — because they are my brothers in a war that made us brothers, and that is the only loyalty that matters on a mountain.

FEBRUARY 15, 1944 — THE BOMBING

They bombed the monastery today. Two hundred and fifty American bombers, dropping high explosive on a building that is fourteen centuries old and sacred to the Christians who worship there.

I am not Christian. I am Hindu. But I know sacred when I see it, and that monastery was sacred, and now it is rubble, and the rubble is full of dead monks and dead refugees and the dust of ancient manuscripts that survived the fall of Rome but could not survive the United States Army Air Corps.

The British officers say it was necessary. The Germans were using it as an observation post, they say. Perhaps they were. Perhaps the destruction

of fourteen centuries of civilisation is justified by the tactical advantage of denying the enemy a high point.

I do not believe this. I think it was destruction for the sake of destruction — the same impulse that drives empires to reshape the world according to their needs, regardless of what existed before.

I think of the temples of Kerala. The old ones, stone and wood, built when the British were still painting themselves blue. If the British bombed those temples, would they call it military necessity? Would they write it in their histories as a regrettable but necessary act?

Perhaps. Empires have a talent for regrettable necessity.

But I am a soldier, and soldiers do not discuss politics. We climb mountains and shoot at the enemy and try to survive until someone signs a paper that says we can stop.

Tomorrow we go up. The Gurkhas will lead. We will follow. The mountain will decide who lives and who dies, as mountains have always decided, since long before empires learned to bomb them.

FEBRUARY 17, 1944 — AFTER THE ASSAULT

The attack failed. The Gurkhas went up like spirits in the dark — silent, fast, deadly — and they reached the monastery walls. They fought the German paratroopers hand-to-hand in the ruins, kukris against bayonets, and for a few hours they held a section of the ridge.

But there were not enough of them, and the Germans counterattacked, and the Gurkhas were pushed back. Not broken — Gurkhas do not break — but pushed back, metre by metre, leaving their dead on the slopes.

Our battalion went up in support and was cut to pieces on the approach. Machine guns from three positions, interlocking fire, the kind of defensive arrangement that turns an open slope into a killing ground. We lost forty men in twenty minutes. Captain Henderson was hit — a bullet through the shoulder — and Sergeant Patel took command and led us back down.

I carried a wounded man on my back. A Gurkha — Rifleman Thapa, a boy of nineteen with a kukri wound on his forearm and a bullet in his thigh. He weighed nothing — these mountain men are small and light — but the slope was steep and the fire was heavy and every step was a negotiation with gravity and death.

I got him to the aid station. He pressed his palms together — namaste — and said something in Nepali that I did not understand but recognised as gratitude.

We are all far from home. The Gurkhas from their hills, the Nairs from their coast, the Sikhs from their plains. We are fighting on a European mountain for a European empire in a European war, and the only thing that connects us is the uniform we wear and the men we serve beside.

Is that enough? I do not know. But it is what we have, and it has kept us alive this far, and it will have to carry us the rest of the way.

MAY 12, 1944 — THE FOURTH BATTLE BEGINS

The final assault has begun. Every unit on the line is going in — the Poles on the monastery, the British below, the French in the south, and us, the 4th Indian Division, pushing through the valley.

Four months we have been staring at this mountain. Four months of failed attacks, of climbing and dying and climbing again. Tonight it ends, one way or another.

The barrage is colossal — the largest I have experienced. Two thousand guns firing simultaneously, a sound that transcends hearing and becomes a vibration in the chest, a taste in the mouth, a pressure behind the eyes. The mountains flash white with each salvo and the valley floor trembles.

We moved forward at midnight. Through the flooded fields, through the rubble of Cassino town, through gaps in the wire that the engineers had cut under fire. The Germans responded with everything they had — mortars, machine guns, artillery — but the weight of the attack was overwhelming. We were not one division this time. We were an army,

hitting every point simultaneously, and even the German paratroopers could not be everywhere at once.

By dawn we had crossed the river and were into the town. House-to-house fighting in the ruins — the worst kind, where you clear one room and the next one kills you. But we had the numbers and the momentum and the four months of frustration driving us forward.

The Poles are on the mountain. I can hear the fighting above us — small arms, grenades, the crackle of combat on the slopes. They are doing what we tried to do in February, what the Gurkhas tried to do, what everyone has tried to do. They are climbing into machine-gun fire for a flag.

I understand that now. I did not understand it before — the Polish obsession with flags and martyrdom and national honour. I thought it was foolish, the kind of romantic nationalism that India outgrew with independence movements and civil disobedience.

But watching them go up that mountain — Poles who walked from Siberia to Italy, who lost everything and came here to take one thing back — I understand. A flag is not a piece of cloth. It is proof of existence. It says: we are here. We were here. We matter.

India will need a flag like that someday. When the British go — and they will go, they must go — we will need to plant our flag and say: we are here. We matter. We always mattered.

The mountain is still burning. The Poles are still climbing.

God — whichever god listens to soldiers — bring them to the top.

JULY 1944 — REST CAMP

Monte Cassino is behind us. The line broke. The Germans retreated north. Rome fell in June. The war goes on, but the worst of it — the mountain, the river, the monastery — is over.

I survived. Many did not. The 4th Indian Division lost over a thousand men at Cassino — Hindus, Muslims, Sikhs, Gurkhas, Christians, men

of every faith and language and caste, united by nothing except the uniform and the mountain.

A letter from my father arrived yesterday. He writes that India is stirring. Gandhi, Nehru, the Congress — they are pushing for independence. The war has weakened the British. They cannot hold India and fight Germany and maintain their empire. Something will break, and my father believes it will be the empire.

He asks if I am proud of fighting for the British. I think about the question carefully.

I am not proud of the cause. The cause — the British Empire, the defence of European interests by colonial troops — is not mine to be proud of. It is theirs.

But I am proud of the fighting. Of the Gurkhas on the mountain. Of Rifleman Thapa, who pressed his palms together and said thank you. Of Sergeant Patel, who took command when the captain fell and led us down the hill. Of the men — Indian men, my countrymen — who climbed a mountain in a foreign country and fought as well as any soldier in the world.

That pride is mine. The empire cannot claim it. When India is free — and it will be free, my father is right about that — we will remember that at Monte Cassino, Indian soldiers showed the world what we are capable of.

Not servants. Not subjects. Soldiers.

That is the lesson of Monte Cassino, and the British would be wise to learn it.

JANUARY 1948 — THRISSUR, KERALA

India is free. On August 15, 1947, the British flag came down and the Indian flag went up and my father stood in the street and cried for the first time since my mother died.

I am home. In Thrissur, with the monsoon rains and the paddy fields and the temples that the British did not bomb. I teach at the school whe-

re my father taught — English, ironically. The language of the empire is now the language of commerce, and commerce is how a new nation feeds itself.

I do not speak of the war often. When I do, people listen politely and do not understand. How could they? Monte Cassino is a name in a foreign language, in a foreign country, in a war that India fought as a servant and emerged from as a nation.

But sometimes, at night, when the rain falls on the tile roof and the air smells of earth and flowers, I think of the mountain. I think of the cold and the machine guns and the Gurkha on my back and the Poles climbing towards their flag.

I think of the monastery — destroyed, rebuilt, standing again on its summit, white walls against the Italian sky. Fourteen hundred years of prayer, interrupted by four months of war, resumed as if nothing had happened. There is something in that — something about persistence, about faith, about the refusal to be erased — that resonates with a man from a country that spent two centuries under someone else's flag and finally planted its own.

We are alike, the Poles and the Indians. We know what it is to be ruled. We know what it is to fight for a flag.

The mountain remembers all of us. The Poles, the Indians, the British, the Germans. We came from the corners of the earth to fight on one Italian hillside, and the mountain received us all — the living and the dead, the conquerors and the conquered — and it holds us still.

The monsoon rain falls. The paddy fields are mirrors. The world is beautiful and simple again, if you look at it from the right angle.

I look. And sometimes — not always, but sometimes — I see it.

CAPORAL ROBERT LATOUR

2^e compagnie, 4^e Régiment de Tirailleurs Marocains, 2^e Division
d'Infanterie Marocaine, Corps Expéditionnaire Français

*Les généraux disaient que les montagnes étaient
infranchissables. Les Marocains ne parlaient pas français —
ils n'ont pas compris l'ordre de s'arrêter.*

IER DÉCEMBRE 1943 — NAPLES

L'Italie. Encore un pays que la France n'a pas réussi à défendre et qu'elle essaie maintenant de libérer avec l'aide de ses colonies.

Je suis Robert Latour, caporal au 4^e Tirailleurs Marocains. J'ai vingt-sept ans. Avant la guerre, j'étais instituteur dans une école primaire à Lyon — j'apprenais la lecture et l'arithmétique à des gamins de huit ans. Maintenant j'apprends à des soldats marocains comment tuer des Allemands, ce qui est une matière moins noble mais plus urgente.

Le Corps Expéditionnaire Français en Italie — le CEF — est un assemblage extraordinaire. Des Marocains, des Algériens, des Tunisiens, des tirailleurs sénégalais, quelques Français de métropole comme moi, et les Goumiers — ces guerriers berbères des montagnes de l'Atlas qui font peur à tout le monde, y compris à nous.

Mon régiment est marocain. Les soldats sont des montagnards — durs, silencieux, capables de marcher vingt heures sans se plaindre, de grimper des pentes qui feraient reculer une chèvre. Ils ne parlent pas tous français. Certains parlent arabe, d'autres berbère, d'autres un mélange

des deux. Les ordres passent par une chaîne de traduction qui ressemble à un jeu de téléphone.

Mais quand il faut se battre, la langue n'a pas d'importance. Le courage est universel.

Nous sommes en Italie pour prouver que la France compte encore. Après la défaite de 40, après Vichy, après la honte — la France a besoin de victoires. Et les victoires, en Italie, se gagnent dans les montagnes.

Les montagnes. Toujours les montagnes. Si Dieu avait voulu que les hommes se battent, Il n'aurait pas mis autant de montagnes sur leur chemin.

15 JANVIER 1944 — SECTEUR DU GARIGLIANO

We have been fighting in the mountains south of Cassino for six weeks. The terrain is infernal — vertical ridges, deep ravines, paths that disappear under snow and reappear as ice. The Germans are dug in everywhere, and everywhere is a fortress.

I write now in English — the language the censor is less likely to black out — switching between French and English depending on my mood and my audience. This diary is for me, not for the army.

The Moroccan soldiers are extraordinary in this terrain. Where European troops struggle and curse and slip, the Moroccans move with a lightness that comes from a lifetime in the mountains. They are goat-men — that is what the Germans call them, and it is meant as an insult, but the Moroccans take it as a compliment.

Sergeant Brahim, my section leader — a tall Berber from the Rif with a face like carved oak — walks uphill at the same speed he walks downhill. I have never seen him tired. I have never seen him afraid. When I asked him once what he thought of the war, he said: "The mountains are the same everywhere. Only the men on them change."

I think about that often. The mountains are the same everywhere. Monte Cassino, the Atlas, the Alps — stone and snow and the same thin air. The men change. The mountain remains.

We have been ordered to prepare for a major operation. Général Juin — our corps commander, the cleverest general in Italy — has a plan. He does not intend to attack Monte Cassino directly. He intends to go around it — through the Aurunci Mountains to the south, through terrain the Germans consider impassable.

Impassable. The Germans do not know the Moroccans. The Germans have not seen Brahim walk uphill.

11 MAI 1944 — VEILLE DE L'ATTAQUE

Tomorrow night, the CEF attacks. While the Poles assault Monte Cassino and the British cross the Rapido, we will strike through the Aurunci Mountains — the spine of rock between the Liri and the coast, twelve kilometres of peaks and ravines that the Germans have left lightly defended because they believe no army can cross them.

They are wrong. Général Juin knows what he has — mountain soldiers, the best in the world, who will go where tanks cannot and where European infantry dare not. The Goumiers will lead, followed by the Moroccans, followed by the Algerians. A colonial army attacking through impossible terrain, in the dark, without armour or heavy weapons.

It is either brilliant or insane. With Juin, it is usually both.

I have written to my mother in Lyon. A short letter — I told her I am well, that Italy is warm, that I think of her crêpes and her garden. I did not mention the mountains or the plan or the fact that tomorrow I will be climbing through German-held territory with a rifle and a prayer.

Brahim cleaned his weapon and prayed. The Moroccans pray five times a day, facing Mecca, kneeling on whatever surface is available — mud, rock, snow. They pray with a dedication that I, a lapsed Catholic, envy. Faith is useful in war. It provides certainty in a world that has none.

I have no faith. I have technique, training, and the men beside me. That will have to do.

Tomorrow. The mountains. Forward.

12 MAI 1944 — DANS LES AURUNCI

We went in at midnight, into the mountains, into the dark.

The Goumiers led — barefoot some of them, or in sandals, climbing rock faces that should require ropes and pitons. They moved like ghosts, silent, fast, appearing on ridgelines that the Germans thought were unscalable.

My company followed. Climbing in the dark, hand over hand, pulling ourselves up slopes so steep that the man in front of you was above your head. The equipment — rifle, pack, ammunition, grenades — weighed thirty kilos and every kilo was an enemy trying to pull you down.

Brahim was ahead of me, moving with that effortless mountain stride, pausing only to reach back and pull me over the worst sections. Without him, I would have fallen. Several men did fall — silent disappearances into the darkness below, a clatter of stones, then nothing.

By dawn we were behind the German line. Not around it — behind it. The Germans had fortified the valleys and the passes, the obvious routes. They had not fortified the mountaintops, because no sane army would cross the mountaintops.

We were not sane. We were Moroccans and Goumiers and Frenchmen, and we had gone over the top like mountain water over a dam.

The surprise was total. German positions that had held for months — fortified, mined, wired — were taken from behind in hours. Supply lines were cut. Communications were severed. The entire southern anchor of the Gustav Line came unhinged in a single night.

Général Juin's plan worked. The mountains that were supposed to be impassable became the highway to victory.

The Moroccans — *ces hommes extraordinaires* — did what the tanks and the bombers could not. They went over the mountains, and the war in Italy changed in one night.

I have never been so exhausted. Or so proud.

14 MAI 1944

Three days in the mountains, and the Gustav Line is broken. The CEF has advanced fifteen kilometres through terrain that the German staff maps marked as "impassable for military operations."

The cost has been real. We have taken casualties — not as many as the frontal assaults at Cassino, but enough. Corporal Driss, a Moroccan from Fez who taught me to make mint tea, was killed by a sniper yesterday. He fell without a sound, mid-stride, and by the time I reached him he was gone. Twenty-three years old. A carpenter's son who joined the army because the French offered better pay than the souks.

The Goumiers have done things in the mountains that military textbooks will study for decades. They cleared positions at night with knives — not because they lack ammunition, but because knives are silent and the Goumiers are mountain hunters who understand that silence is a weapon.

The Germans are shaken. Prisoners we've taken have a look I haven't seen before — not fear exactly, but bewilderment. They fortified the valleys and the passes and the rivers, and the enemy came over the mountains. Their plans were perfect and the mountains betrayed them.

No — the mountains were neutral. They always are. It was the men who made the difference. Brahim and Driss and the Goumiers and the thousands of colonial soldiers who climbed where no army was supposed to climb.

Général Juin received congratulations from Alexander, the Allied supreme commander. The French breakthrough has unhinged the entire Gustav Line. Monte Cassino — the fortress that held for four months — is now isolated, surrounded, pointless. The Germans will withdraw. They must.

The Poles are still fighting on the mountain. They will take it — they must take it, now that we have pulled the ground from under the German defences. The flag they want to plant will fly because Moroccan soldiers climbed mountains in the dark.

That is the truth of Monte Cassino. Not one nation, not one army, not one flag. All of them. Together. A coalition of the desperate, the colonial, the exiled, and the stubborn, united by nothing except the mountain and the determination to defeat it.

The mountain did not fall to any single blow. It fell to all of them.

JUIN 1945 — LYON

Home. Lyon. The Rhône, the bridges, Maman's kitchen, the smell of butter and flour.

The war is over. France is free. The Germans are gone. The world is supposed to be better now.

But I think of Brahim, who went back to Morocco and will live under French colonial rule for another decade or two. I think of Driss, who is buried in an Italian cemetery, his headstone marked with a crescent instead of a cross. I think of the Goumiers, who fought like lions and went home to villages where the French administration treats them as subjects, not citizens.

The colonial soldiers won Monte Cassino. They broke the Gustav Line. They proved that the men the empire calls "natives" and "colonials" can fight as well as any European army. Better, in some cases.

And what is their reward? They go home to countries that are not free. They go home to be governed by the same people they fought for. They go home with medals and memories and nothing else.

I am French. I go home to a free France. Brahim goes home to a colonised Morocco. We fought the same war, on the same mountain, in the same company. The difference between us is not courage or skill or sacrifice. The difference is the colour of our skin and the accident of birth.

This is unjust. I know it is unjust. I say it is unjust, here, in this diary, which no one will read.

But the mountains remember. The mountains remember the Moroccans who climbed them in the dark, and the Goumiers who fought with knives, and Driss who fell without a sound.

The mountains remember, even when the empires forget.

OBERJÄGER KARL MÜLLER

2. Kompanie, I. Bataillon, 3. Fallschirmjäger-Regiment, 1.
Fallschirmjäger-Division

*Wir hielten den Berg, bis der Berg keinen Sinn mehr hatte.
Dann hielten wir ihn noch eine Nacht.*

22. SEPTEMBER 1943 — SÜDITALIEN

We are retreating. Again. The Allies have landed at Salerno, the Italians have surrendered, and the Wehrmacht is falling back northward through Italy, blowing bridges and mining roads as we go.

I am Karl Müller. Oberjäger — senior private — in the 1st Parachute Division. I jumped into Crete in 1941 and watched the Mediterranean turn red with German blood. I fought in Russia at Leningrad, in the frozen swamps where men drowned in mud and froze standing up. I have been a soldier for four years and I have earned the right to be cynical about the grand phrases that come from Berlin.

The grand phrases say we are winning. The map says we are retreating. I trust the map.

Italy is beautiful, in the way that a country being destroyed is sometimes beautiful — the light on the mountains, the olive groves, the ancient towns perched on hilltops like birds preparing to fly. I see these things and I think: we are going to fight over this, and the fighting will ruin it, and someday people will rebuild it and pretend the war never happened.

My company is down to eighty men. We started the war with 180. The math is simple and grim.

I have a wife — Greta — in Cologne. She writes every week. She tells me the city is being bombed, that the apartment two floors below ours was destroyed last month, that she sleeps in the cellar every night. She asks when I'm coming home.

When am I coming home? When this is over. When the generals admit what every Oberjäger already knows. When the grand phrases stop and the silence begins.

I don't know when that will be. Neither does Greta. Neither does anyone.

20. JANUAR 1944 — MONTE CASSINO

The Gustav Line. This is where the retreat ends and the defence begins. I have never seen a better defensive position. Monte Cassino is a natural fortress — steep slopes on every side, rocky terrain that breaks up attacks, clear fields of fire across the Liri Valley. The monastery on the summit watches everything like a stone eye.

We are dug in deep. Bunkers blasted from the rock, machine-gun nests with interlocking fields of fire, mortar positions pre-registered on every approach route. Every stone wall, every terrace, every fold in the ground has been turned into a fighting position.

The Americans are below us, across the Rapido. They will try to cross. They will fail. Not because they lack courage — the Americans are brave, sometimes foolishly so — but because the river and the mountain are against them, and bravery does not defeat geography.

My position is on the southern ridge, below the monastery. I have an MG 42 — the finest machine gun in the world — with clear fire across the valley floor. When the Americans come, I will see them from two thousand metres. I will open fire at eight hundred. By four hundred, they will be in the kill zone.

I write this without emotion. I am not cruel. I do not enjoy killing. But four years of war have taught me to think in terms of fields of fire and kill zones, to see terrain as a weapon and men as targets. The war made me this way. I do not apologise for it.

Greta's letter arrived yesterday. She writes that the bombing has worsened. She writes that she is frightened but she is managing. She writes that she loves me and prays for my safe return.

I love her too. I pray for nothing, because I have seen what prayer accomplishes in war, which is nothing. I rely on the MG 42 and the mountain and the training and the men beside me. These are things I can control. God, if He exists, controls nothing that I can see.

The Americans are gathering in the valley. I can see their trucks and their campfires. They have no idea how strong this position is.

They will learn.

15. FEBRUAR 1944

They bombed the monastery. The Americans sent two hundred and fifty bombers and destroyed the abbey that has stood on this mountain since the sixth century.

I was in my bunker when the bombing started. The ground shook so violently that dust poured from the ceiling and the timbers groaned. I pressed myself against the rock wall and waited for the mountain to bury me.

It didn't. The bunkers held. The monastery did not.

When the bombing ended, I climbed to the ridge and looked up at the summit. The white walls were gone. In their place — rubble, dust, the skeleton of a building that had survived Lombards and Saracens and earthquakes but could not survive the American Air Force.

We moved into the ruins that night. And here is the irony that the American generals should have foreseen: the rubble is a better defensive position than the standing building. You can hide in rubble. You can dig

into it. You can fight from it with a freedom that intact walls do not allow.

The Americans gave us a fortress by trying to destroy one. This is the kind of mistake that costs thousands of lives and earns generals promotions.

I set up my MG 42 in what had been the cloister. There is a fragment of a fresco on the wall behind me — an angel's wing, blue and gold, the paint cracked but still bright. I sit beneath an angel's wing and I kill men who come up the mountain.

The contradiction does not escape me. Nothing escapes me anymore. I am beyond contradiction, beyond irony, beyond everything except the simple mechanics of defence: hold the position, maintain the weapon, kill the enemy.

That is all I am now. A machine. A very efficient machine, in a very good position, on a very strong mountain.

God help anyone who tries to climb it.

MARS/APRIL 1944 — NACH DER ZWEITEN UND DRITTEN SCHLACHT

Three battles. We have thrown back three assaults — American, New Zealand, Indian, Gurkha — and the mountain still holds.

The Gurkhas were the worst. They came in silence, like shadows on the snow, and they were on our positions before the sentries could react. A small dark man appeared in my foxhole with a curved knife — I shot him at arm's length and he fell on top of me and his blood was warm on my face in the freezing night.

Warm blood on a freezing face. That is what four months on Monte Cassino reduces you to — small, terrible details that you will remember forever and wish you could forget.

We are being ground down. Not in one dramatic collapse, but slowly, steadily, one man at a time. A sniper takes a man here. A mortar takes a man there. Frostbite takes two more. The replacements arrive youn-

ger and less trained each time. I am now a veteran at twenty-six, which means I have survived longer than average, which is not a distinction I sought.

Feldwebel Hofer — my squad leader, a Bavarian who fought in Crete beside me — was killed last week by a sniper while eating his rations. The bullet came through the firing slit of his bunker and hit him in the throat. He didn't finish his meal. He didn't finish his sentence.

I think about Greta. About Cologne, which is being systematically destroyed by the British bombers. About the apartment where we lived, the kitchen where she cooked, the window where she waited for me. Is the apartment still standing? Is the kitchen still there? Is the window still whole?

I don't know. I know the mountain. I know the MG 42. I know the fields of fire and the kill zones. The rest of the world — Cologne, Greta, Germany, the future — is an abstraction, a story told by someone else about a life that belongs to a different Karl Müller.

This Karl Müller lives on a mountain and kills men and waits. That is all. That is everything.

11. MAI 1944 — 23:00 UHR

The barrage has begun. The largest yet — the ground is shaking continuously, the dust is choking, the noise is beyond description. This is not ordinary shelling. This is the sound of an army that has decided to end this, tonight, whatever the cost.

They are coming. All of them. I can see the flashes across the valley — guns firing from every position, a continuous ripple of light from horizon to horizon.

My weapon is loaded. My ammunition is stacked. My field of fire is clear. I have done this before — three times, on this same mountain, against different armies. Each time, we held. Each time, they went back down.

But tonight feels different. The weight of the barrage, the breadth of the attack — this is not a probing assault or a limited operation. This is everything.

The Poles are coming. I know this from the intelligence briefing — Polish II Corps, the men from Siberia, the ones who walked across the world to fight on this mountain. They will come from the north, up the slopes, into our positions. They will come with that Polish fury that I have heard about but not yet faced.

I am not afraid. Fear requires energy, and I have spent my energy. What remains is a tired professionalism — check the weapon, check the ammunition, check the field of fire. The mechanics of defence. The only thing I know.

Greta, if you read this: I have been a good soldier. I held the position. I did my duty. Whether the cause was right — that is a question for historians and philosophers, not for Oberjäger in bunkers.

I love you. I have always loved you. Whatever happens tonight, know that.

The barrage is lifting. The silence after it is terrible — the silence of a thousand men waiting.

They are coming. I can hear them on the slopes. Boots on stone. The sound of men climbing toward me in the dark.

I chamber a round. I sight along the barrel. The angel's wing is behind me, blue and gold.

Let them come.

17. MAI 1944 — NACHT

Withdrawal order received. After four months, we are leaving the mountain.

The line has broken everywhere — the French in the south, the British in the valley, the Poles on our flanks. Monte Cassino is an island now, a position that holds nothing because everything around it has fallen. Holding it further serves no purpose except to die.

I should feel relief. Instead I feel a strange grief, the grief of a man who has given everything to hold a place and is now told the place doesn't matter.

We are pulling out tonight. Down the back of the mountain, through the gulleys, north to the next defensive line. My section — what remains of it, six men out of twelve — will provide rear guard.

Rear guard. The men who stay behind while everyone else withdraws. The men who hold the door open and close it behind them. If they can. I volunteered. Not out of heroism — heroism died somewhere around the third battle — but because someone has to do it, and I know this mountain better than any man alive. I know every rock, every path, every fold in the ground. I have lived on this mountain for four months. It is more my home than Cologne.

The Poles will come at dawn. They will climb the last slope and enter the ruins and plant their flag. I will hear the bugle — they play a bugle call, the Poles, an old melody that breaks off in the middle. I have heard about it from prisoners.

I would like to hear it. Not as an enemy, but as a soldier. One soldier acknowledging another. The Poles deserve their flag. They have paid for it in blood — more blood than anyone should have to pay for a piece of cloth on a ruined wall.

But I will not hear it. I will be gone by then, or dead, or somewhere between the two.

The night is quiet. The mountain is quiet. For the first time in four months, the guns are silent.

Tomorrow, the mountain changes hands. Tonight, it belongs to no one. Tonight, it belongs to itself — to the rock and the ruins and the dead, to fourteen centuries of prayers and four months of killing, to the angel's wing on the cloister wall.

I check my weapon. I check my ammunition. I wait.

The mountain holds its breath. So do I.

Oberjäger Karl Müller zginął 18 maja 1944 roku, w ostatnich godzinach bitwy o Monte Cassino. Podczas nocnego wycofywania się z pozycji klasztornych, jego sekcja stanowiła osłonę tylną dla reszty batalionu. Oddział został odcięty przez polskie natarcie na wzgórzu San Angelo. Müller i trzech pozostałych żołnierzy bronili się do świtu. Został trafiony dwiema kulami — w brzuch i w pierś — i zmarł około godziny szóstej rano, w momencie gdy polscy żołnierze wchodzili do ruin klasztoru. Miał dwadzieścia sześć lat. Jego ciało znaleziono obok karabinu maszynowego, z twarzą zwróconą ku wschodowi, skąd nadchodził świt. Pochowany jest na Niemieckim Cmentarzu Wojennym w Cairi, u podnóża Monte Cassino, jeden z ponad dwudziestu tysięcy niemieckich żołnierzy spoczywających na tym cmentarzu. Jego żona Greta otrzymała zawiadomienie o śmierci w sierpniu 1944 roku, w zniszczonym bombardowaniami Kolonii. Nigdy nie wyszła ponownie za mąż.

- Bitwa o Monte Cassino zakończyła się 18 maja 1944 roku, kiedy żołnierze polskiego II Korpusu zatknęli biało-czerwoną flagę nad ruinami klasztoru.
- Straty alianckie w czterech bitwach: około 55 000 zabitych i rannych.
- Straty niemieckie: około 20 000.
- Ofiary wśród ludności cywilnej: niepoliczalne tysiące.
- Klasztor Monte Cassino odbudowano po wojnie, kamień po kamieniu. Konsekracja odbyła się w 1964 roku.
- Większość żołnierzy II Korpusu nigdy nie wróciła do Polski. Domy, o które walczyli, znalazły się za żelazną kurtyną.
- Na stokach Monte Cassino rosną czerwone maki. Kwitną co wiosnę, wśród grobów.